

I 463.240

A D A N E G R I

9

PIENIĄDZE

autoryzowany przekład z włoskiego

R. CENTNERSZWEROWEJ



NAKŁADEM „BLUSZCZU” WARSZAWA 1924



II.463.240

Druk. Tow. Zakł. Graf. „KOLA POLEK“ Nowy-Świat 8-10.

1984K/274/104

I.

Weronka miała dwanaście lat, kiedy pewnego dnia zapytała matkę:

— Mamo, masz ręce delikatne, jak dama. Dla czego chodzisz do fabryki?

— Aby mieć pieniądze, dziecinko. Bez pieniędzy nie można żyć na świecie. Wiesz przecież, że jesteśmy same jedne, że nam nikt nie dopomoże, — odparła matka, Anna Longhena, szczupła, niezmiernie żywa kobiecinka, obdarzona przez naturę parą czarnych, szeroko pod wypukłym czołem otwartych oczu i parą drobnych, niby zabawki, rączyn, dziwnie delikatnych jak na ręce tkaczki.

— Są jednak ludzie, którzy mają pieniądze, nie potrzebując pracować—zaprzeczyła uparta dziewczynka.

— Tak, dziecko, ale to są bogacze.—Żle hamowany smutek zasępił twarz kobiety, która niezawsze była biedną, pamiętała lepsze czasy, lubiła książki,

łaki i pola i jedynie swojemu ukochaniu życia i niewyczerpanej swojej energii nerwowej, zawdzięczała odporność na dziesięciogodzinną orkę przy warsztacie tkackim. Pracowała niezmordowanie od świtu do nocy, nie tracąc mimo to pogody ducha.

— Tak,—powtórzyła dziewczynka — tak... bogacze...—Prostopadła zmarszczka, przecinająca jej czoło, postarzała ją tak, że wydawała się starszą niemal od matki.

Anna zaczęła nucić. Natura jej silna, łatwo zmieniająca nastroje, nie znosiła na dłuższą metę smutku ani cierpienia. Posiadała, jak ptaki, instynkt-spiewu i beztroski. Wystarczał jej widok promyka słońca na murze przeciwnym, aby piosenka zrywała się sama z jej ust. Głosik miała niewielki, ale lekki i [dźwięczny jak głos dwudziestoletniej dziewczyny.

Weronka zupełnie była inna. W duszy jej rozdziły się i wibrowały tłumionymi akordami melodje poważne i słodkie, ilekroć jednak otwierała usta, aby je [wydobyć na zewnątrz, głos brzmiał chrypliwie, urywał się, zacinał. Miłkła wówczas i pozostawała niema przez długie godziny w ciszy bielonych wapnem, zupełnie niemal pozbawionych mebli, izdebek, gdzie—poza godzinami szkolnemi — żyła w oczekiwaniu powrotu matki z fabryki.

Obrazy i postacie, [wyraźne, niemal rzeczywiste, zaludniały jej samotność, [wymowniejszą i bardziej drgającą życiem niż zgiełkliwe zbiorowiska ludzkie.

Dwa stare, pożółkłe sztychy z wypisanemi gotykiem nazwami: „Skazanie“ i „Ucieczka Feliksa Orsini“ — 5
zdobiły jedną ze ścian. W żywej wyobraźni dziecka dzieje rewolucjonisty bogaciły się setkami szczegółów, wyczarowywały szeregi innych jeszcze niezwykłych przygód spiskowców, ich skazań, ucieczek i szubienic.

Pozostałaby tak pogrążona w rojeniach fantastycznych, aż do zmierzchu, gdyby nie dwa świeże głosiki dziecięce, rozlegające się z dołu, z ogrodu:

— Weronko!... Chodź bawić się!...

Były to dwie córeczki właścicielki domu: Nanetka i Ninka. Białe fartuszki krojem luźnych tiunik, noszone przez nie przy zabawie, niewiele różniły się formą od szarego, kraciastego fartuszka Weronki. Wszystkim trzem opadały włosy swobodnymi falami na ramiona; bogate zwoje, pachnące jeszcze dziecięctwem, tworzące harmonijną gamę odcieni i miękkości: czarne i gładkie—Nanetki, kasztanowate i lekko zwicchrzone—Ninki, rudawe i szorstkie, o dzikim zapachu leśnym i ciemniejszych falowaniach—Weronki.

Obie siostry, bogate dziedziczki, nie umiały jeszcze znaleźć się w swojej roli; były swobodne i płocne, jak istoty, które na żadne dotąd nie natrafiły w życiu trudności. Bawiły się z córką robotnicy w teatr, powierzając jej obmyślenie osób działających i scen. Fantazja dziewczynki nie wyczerpywała się nigdy. Stwarzała nowe codziennie epizody, wytryskające z niej niby ze źródła nektaru drogocennego,

którym upajała się młoda wyobraźnia. Każda z dziewczynek przeistaczała się całkowicie w obraną przez siebie postać dramatyczną: Nanetka — w jasnowłosa, piękną „Księżniczkę Marję“, Weronka — w tajemniczy, ciemnooki majestat „Księżniczki Oliwji“, a Ninka, najwyższa, najłatwiej przystosowująca się do szybkich przeobrażeń, grała rolę „Lazurowego Królewicza“, księcia, rycerza i wszystkie wogóle, jakie wypadło, postaci męskie. Bankiety, bale, intrygi, miłości, zemsty — cały scenariusz bajek, atmosfera widzeń sennych.

Księżniczka Oliwja wyniośle wlokła za sobą po ścieżkach ogrodu powłóczyste szaty barwy promienia księżycowego, a Księżniczka Marja przywdziewała wspaśniały, usiany gwiazdami, płaszcz przebogaty; Książę nadjeżdżał galopem na śnieżnym, spienionym rumaku, promieniejący radością i dumą z odniesionego w bitwie zwycięstwa.

Boska naiwność bajek, pełnych przygód romantycznych, paziów, karłów, królewiczów i królewien, splatała się ze szczegółami przeżyć rzeczywistych, tworząc pospołu nieskończone bogactwo scen i obrazów. Fantazja dziecięca, zwłaszcza fantazja Weronki, znajdowała w nich karm wonny jak siano sierpniowe, dojrzewające w słońcu. Brama wjazdowa z granitowymi kolumnami, wybrukowana szaremi i czarnymi kostkami cementowymi, była sceną. Gdy zaś wypadło zaludnić ją mnogością postaci, przeistaczały się drzewa i krzewy rozległego ogrodu w istoty ludzkie.

Piękna błękitna sosna w pobliżu furtki stawała się hrabią Sergjuszem. Krzew, obsypany od maja do września różami herbatniemi, a przez resztę roku najeżony gołemi kolcami, był baronową Julją. Kępy nieśmiertelników, splątane zwoje bluszczów, gąszcze pysznych, dekoracyjnych hortensji świetniejących bukietami różnych barw i odcieni: zielonawo-liljowych, błękitnych i różowych, udawały piękne damy i do stojnych rycerzy, prawiących sobie wzajem z dworską galanterją komplementy i dusery.

A dwa środkowe rzędy mieczyków i irysów dostąpiły pewnego pięknego dnia czerwcowego zaszczytu tworzenia orszaku panny młodej, którą rozradowane oczy dziewczynek widziały — prawdziwie widziały — czystą jak płatek śnieżny w bieli szaty ślubnej, w cieniuchnym jak mgiełka, welonie, usianym kwieciem pomarańczy...

Dzwonek obiadowy odwoływał Nanetkę i Ninkę do pospolitych funkcji życia codziennego. Córka tkaczki, która wracała również do swojego mieszkanka, aby przygotować, jak umiała najlepiej, trochę stawy dla powracającej z fabryki matki, żyła w dalszym ciągu, dzięki dziwnemu procesowi promieniowania myśli, rojeniami swojemi fantastycznemi. Dla czegóżby te cztery nagie ściany nie miały okrywać się dla niej kunsztownemi gobelinami, skrzyć się blaskiem srebrnych i złotych świeczników?!...

Dość było zapragnąć ich, dość o nich pomyśleć, a już widziała je takimi, o jakich zamarzyła.

O słodkiej godzinie zmierzchu, oparta o krawędź, wychodzącego na ogród balkoniku, snuła Weronka przedziwo [marzeń o stworzonych przez samą siebie postaciach, za którymi szły tęskne jej oczy. Drzewa i krzewy, kwiaty i kolumny, kamienie i okna... wszystko patrzyło na nią ludzkimi oczami, przemawiało do niej przyciszonym szeptem ludzkich głosów. Rozmarzona, zobojętniała na wszystko, czuła, że dusza jej wzbiera radością pełni życia.

* *

Pewnego popołudnia w porze karnawałowej (plusk deszczu i blaski słońca zmieniały się wciąż kolejno) majestatyczna dama, z szacunkiem nazywana przez wszystkich donną Karolą, wlokąca zawsze po pokojach treny pompatycznych szlafroków i przemawiająca stanowczym tonem władczyni — spotkawszy Weronkę w bramie, zagadnęła ją:

— Lubisz gorące ciasteczka z konfiturami?... Będiesz mogła jeść ich, ile zechcesz, dzisiaj wieczorem u nas, jeśli pomożesz pokojówce podawać do stołu.

Rumieniec oblał twarz dziewczynki, nie śmiała jednak odmówić; nie mogła tego zrobić!

Wieczorem poszła, ustrojona starannie przez matkę, która szepnęła jej już na schodach:

— A pamiętaj przynieść kilka sztuk i dla mnie...

Wprowadzono ją odrazu do kuchni, gdzie w tej chwili właśnie wyjmowała kucharka z pieca apetycznie dymiące, pachnące, złotawe ciasteczka, które obsypywała na gorąco mialkim cukrem z wanilią. Pokojówka, śmiała, prostacza, wygadana dziewczyna, wsunęła w ronce w ręce tacę, uginającą się pod stosem wonnych słodyczy i nakazała jej:

— Uważaj, mała!... Trzymaj mocno!... i idź za mną... I, ujmując drugą taką samą tacę, weszła wraz z dziewczynką do sali jadalnej.

Blask licznych świateł olśnił oczy Weronki, oślepiając ją nieledwie. Nanetka i Ninka, w różowych sukienkach, z szerokimi różowemi wstążkami, przepasującemi zaczesane w górę włosy, nie spojrzały na nią nawet. Chichotały wesoło ze swojemi przyjaciółkami,—a ona w tym jarzącym blasku świateł widziała bukiety hortensji, snopy mieczyków i kielichy irysów, tworzące orszak księżniczki Oliwji.

Dławiące uczucie wstydu przygwoździło ją do miejsca, o trzy kroki od oszklonych drzwi wejściowych, z tacą dygococą w jej rękach.

— Któż to były te osoby w jedwabnych sukniach i czarnych frakach?... Dlaczego ona właśnie miała usługiwać im?... Czy nie mogły usłużyć sobie same?...

— Na lewo, na lewo — ostrzegła ją szeptem pokojówka.

— Na lewo głuptasie!...

Teraz nie rozumiała już nic, Te kryształły, te kwiaty, ci ludzie ubrylantowani, te obojętne uśmiechy Nanetki i Ninki policzkowały ją wprost. Postawiła tacę na rogu stołu, zawróciła i z błyszczącymi dziko oczami uciekła z pokoju...

* * *

— Mamo!... Mamo!... Nie chcę być biedną. Nie chcę usługiwać!...

— Cicho, dziecinko, uspokój się...

I biedna matka, ułożyła na pościeli dziewczynkę, wzburzoną, na wpół przytomną z płaczu, szczękającą z rozgorączkowania zębami, wstrząsaną łkaniem spazmatycznym, tuliła ją łagodnie, kołysała i usypiała miękko, pieścizotliwym muskaniem ręką po czole, jakim wszystkie matki tulą do snu chore swoje dzieci.

I nie znajdowała innego sposobu na łagodzenie okrutnego bólu po za powtarzaniem jednej i tej samej wciąż odpowiedzi na straszliwe zarzuty dziecka:

— Cicho, dziecinko, uspokój się...

Weronka ucichła w końcu, uspokoiła się, ale późno w noc dopiero. Ogromne, większe od całej twarzyczki, oczy szukały badawczo w mrokach nocy rozwiązania dręczącej zagadki. Wreszcie głosem łagodniejszym, niemal pokornym szepnęła:

— Opowiedz mi, mateńko, raz jeszcze historję o rzece. Wiesz, jak to ja wtedy przedostałam się przez balustradę mostu,...

— Dziecinko droga!... Opowiadałam ci ją tysiąc razy!... Dawno już temu, miałaś wtedy półczwarta roku i byłaś małym djablątkiem z łebkiem nastroszonym chmarą rudawych loków... Pewnej niedzieli, na moście, trzymałam cię za rękę i rozmawiałam z bladą Djonizą, wiesz, tą, co umarła na suchoty. Nadeszły dwie siostry Velluti i przyłączyły się do nas. Nagle uczułam, że nie trzymam już twojej rączki, i w tej samej chwili zobaczyłam Djonizę i dwie siostry Velluti, blade, nieruchome, trzy upiory z oczami wlepionymi w balustradę... Wymknęłaś mi się, prześlizgnęłaś się po przez kratę, rozumiesz, dziecko jedyne, przez kratę... I stałaś wyprostowana na wąskiej krawędzi marmuru — na wąziutkim występie — wpatrzona w wodę. Pod tobą była głębia... Kto w nią wpadnie, nie wypłynie już więcej... Miałam siłę nie krzyknąć, nie wymówić ani słowa, nie zawołać cię. Byłabyś może odwróciła się i w tym ruchu nagłym mogłabyś wpaść do wody, wprost w toń... głową naprzód... Nie wiem do dnia dzisiejszego jacy święci powstrzymali mnie. Wcisnęłam rękę pomiędzy kratę, schwyciłam cię za sukienkę i wciągnęłam lekko z powrotem na most... O, Weronko, Weroneczko, Werońciu moja...

— A ja, co powiedziałam, mamusiu?... — zapytała dziewczynka z pełnem ciekawości spojrzeniem.

— Powiedziałaś: — Ładna woda.

Weronka umilkła. Miała wrażenie, iż rzeka jest tuż o dwa kroki pod nią, lazurowa, chłodna, bystra...

Jaka łączność zachodziła pomiędzy sceną na moście, a sceną z tego wieczora—nie zdawała sobie wyraźnie sprawy. Coś jednak musiało być. Po tamtej stronie wody były brzegi, wsie, pola, miasta, kraje... dal nieznana. Musi przepłynąć rzekę, wydostać się na brzeg wymarzony, wyzwolić się.

— Mamo, mamo, wysłuchaj mnie... Nie chcę być biedną. Nie chcę być robotnicą ani służącą. Chcę się uczyć.

— Dobrze, dziecinko, będziesz się uczyła.

* * *

I Weronka uczyła się.

Jako piętnastoletnia dziewczynka wstąpiła na pierwszy kurs seminarjum nauczycielskiego. Nie dla tego, aby ją pchało w tym kierunku specjalne powołanie do pedagogiki; nie: była to dla niej jedyna droga do zdobycia wiedzy, znalezienia ujścia dla niezbadanych sił tajemnych, przyczajonych w jej młodej duszy.

Niewszystko przychodziło jej z łatwością: matematyka nudziła ją, wielbiła natomiast historję, gotowa była karmić się poezją wyłącznie, dniem i nocą, nie znosiła wszakże żadnych reguł i w wypracowaniach swoich wyłamywała się stale z pod ich rygoru; budowała zdania indywidualnie, jak jej dyktowało poczucie harmonji, zrodzone we własnej jej duszy, dawała się zanadto unosić fantazji, lub też malowała życie z brutalnym realizmem, wywołującym oburze-

nie nauczycielki — zasuszonej, pedantycznej, zapleśniałej jak stara pożółkła książka.

Profesorowie nie lubili jej, uważając ją za przekorną i nie widząc, że była jedynie oryginalną. Nie lubiły jej także koleżanki, uważając ją za dumną i nie widząc, że jest tylko nieśmiałą i niepodobną do żadnej z nich.

Aby móc kupować książki, wносить regularnie opłatę szkolną i posyłać córkę do seminarjum przyzwoicie ubraną, sprzedała już Anna Longhena swoje złote kolczyki, czarną jedwabną suknię, i — skarb najdroższy — złotą obrączkę.

Uczyła to pogodnie, z prostotą beztroską, z piosenką na ustach, której zwrotkę: „Krzyż i miłość, — serca radość...” nuciła, drobiąc do filiżanki mleka kromki chleba i spożywając z zadowoleniem ten skromny posiłek po dziesięciogodzinnej pracy przy warsztacie.

Dziewczynka nie zdawała się spostrzegać tych poświęceń; uważała może za rzecz naturalną, że matka pozbawia się wszystkiego dla niej.

Aż nareszcie pewnego wieczora powróciła Anna z fabryki z gorączką, z ręką owiazaną z powodu przebiccia gwoździem, który rozszarpał jej całą dłoń.

— Dziecko jedyne — rzekła do córki — trzeba będzie, abys i ty pomyślała o zarobku. Dlaczego nie poszukasz sobie jakich lekcyj?... Masz teraz ferje. Znajdzie się chyba która z dziewcząt, mających pozawaka-

cyjny egzamin, do którego chciałyby się przygotować za niewielką opłatą.

— Poszukam, mamó.

Poszukała i znalazła. Znalazła córkę owo-carki z sąsiedniej ulicy, krępą, pucułowatą, czerwoną jak piwonja, ograniczoną dziewczynę, którą ogłupiał jeszcze bardziej upór matki, chcącej zrobić z niej za wszelką cenę nauczycielkę, bodajby nawet za cenę życia. Nieszczęśliwa ta ofiara ambicji matczynej obkuwała się bez skutku od dwóch lat, aby zdać egzamin na trzeci kurs przygotowawczy.

Ułożyły się, że Weronka da jej trzydzieści lekcji, po pół lira za godzinę. Ale młoda nauczycielka, której bujna wyobraźnia przeistaczała z łatwością krzewy różane i krzaki jeryn w postacię z dramatu, stawiała się sama biednem, wylęknionem stworzonkiem wobec grozy ułamków, z trudnością omijała niebezpieczne rały geometrii, a ilekroć przyszło jej powtarzać: „południo-wschód“ lub: „pólnoco-zachód“, myślała bezwiednie o wielkich różanoskrzydłych ptakach, ginących w dali bezkresnej, pomiędzy morzem a niebem.

Obie dziewczynki—nauczycielka i uczenica—pracowały gorliwie. Często, wobec zadania matematycznego o zagadkowym dla obu wyniku, bezmyślna, opasła twarz uczenicy i żywa, ruchliwa twarz nauczycielki jednakże zdradzały naprężenie uwagi i wysiłek woli istot, starających się zrozumieć i nie mogących dotrzeć do jądra rzeczy.

Ostatniego dnia egzaminów, około wpół do piątej po południu, usłyszała Weronka stukanie do drzwi. Od rana już drżała z obawy o wynik, trzęsła się też, idąc otworzyć. Na progu stała gruba, potężna, sapiąca, cała pąsowa z gniewu, owocarka:

— Janina zamknęła się w swojej izbie: beczy, przepadła z ruchunków...

Słowa te wyrzuciła z siebie niepodobnym do określenia akcentem. Wściekłość, pogarda, sknerstwo—mieszało się w nich wszystko, niby syczące gadziny, skłębione w pustej misie. Rzuciła na komodę trzy pięciolirowe papierki i odeszła bez pożegnania z miną, obrażonej, oszukanej królowej.

Młoda nauczycielka stała wciąż nieruchomie na progu. Z pokoju dolatywało brzęczenie muchy, uderzającej w locie skrzydełkami o meble. Mając uszy pełne tego brzęku, podniosła machinalnie papierki. Były brudne, wytarte, nosiły na gładkiej powierzchni ślady niezliczonych palców: jeden z nich, przedarty w dwu miejscach, zaklejony był połówkami zużytych marek pocztowych. Wszystkie przesiąkły wonią potu, zamkniętej, nieprzewietrzanej izby za ladą, tytoniu i brudnych, cheiwych rąk.

— Więc to są pieniądze...

Bez nich nie można byłoby żyć. Dla zdobycia tych brudnych, wstrętnych papierków matka jej marnowała się od świtu do nocy, zużywała siły przy warsztacie, rozszarpała dłoń o stary, wystający gwóźdź,

omal nie padła ofiarą gangreny... I wszystko to dla pieniędzy... Dla nich ona, Weronka, naraziła się na lekceważący ton tej ordynarnej baby, tej analfabetki, straganiarki!.. Kto ma wiele tych papierków wytłuszczonych a potężnych, kto, jak rodzice Ninetki i Ninki posiada ich tak dużo, że nie mógłby ich zliczyć, może kazać się obsługiwać przez tych, którzy ich nie mają, a ten, kto próbowałby je zabrać im, poszedłby do więzienia. Spojrzała na papierki ze wstrętem. Były to pierwsze pieniądze, zarobione przez nią, zarobione za cenę zasłużonego, a tak bolesnego upokorzenia.

Będzie musiała zarobić ich dużo jeszcze, z wysiłkiem najwyższym, przewyciężając odrazę, jaką do nich czuje. Chcąc żyć, chcąc zdobyć prawo istnienia na tym świecie, będzie musiała aż do śmierci wtlaczać w cudze głowy głupstwa, w które sama nie wierzy. Kto, na przykład, potrafi przekonać ją, dowieść jej, że dwa i dwa jest cztery, właśnie cztery ani mniej ani więcej?...

Nauka zdobywana z takim trudem w celu wyzwolenia się, przyczyni się jedynie do zrobienia z niej niewolnicy czy wyrobnicy odmiennego tylko rodzaju: niewolnicy szkoły, metody, pamięci; wyrobnicy i niewolnicy—i nic więcej.

Tamta inna twarz z lustra, stojącego na komodzie, pytała ją: „Czemże więc chciała byś zostać?”

Błada, o wydatnych kościach policzkowych, o wzdętych nozdrzach szerokich i wilgotnych wargach, o śmiało zarysowanym łuku brwi nad błyszczącymi fosforycznie i spoglądającymi z dziwną mocą i bystrością oczami, *tamta twarz*, z którą często dziwne prowadziła rozmowy, wydała jej się w tej chwili obliczem osoby, którą знаła niegdyś w innem życiu. Z życia tego pozostały w jej ośrodkach mózgowych przelotne jedynie błyski, cienie nieuchwytne, drobne, ułamkowe okruchy wrażeń.

— Winszuję, winszuję — szydziła — dobrze zaczęłaś...

— O, kto wie, czy nie wypadnie narażać się na stokroć gorsze jeszcze rzeczy!... Niema co, trzeba się przyzwyczaić.—Zaczęła śmiać się, śmiać na cały głos, śmiać się, aby nie płakać; śmiała się, przechylając całe szczupłe swoje, zwinne ciało chudej kotki przez poręcz balkonu. Słońce, czyste i jasne w tej pierwszej dekadzie października, rozpalało ogniste blaski w zwichrzonej gęstwinie jej włosów. W powietrzu promieniało tyle klejnotów, tyle jaśniało swiateł!... I cały ogród, kwiecisty i wonny, należał do niej, chociaż tak bardzo była biedna; do niej, ponieważ mogła przeistaczać go dowoli w bogatej fantazji swojej, pełnej wizji najprzeróżniejszych.

Posiadała więc świat, do którego pieniądź nie miał przystępu?...

Stała się znów księżniczką Oliwją, piękną, strojną we wszystkie rozsiane w powietrzu klejnoty, królową z bajki, otoczoną świetnym orszakiem rycerzy z obliczami kwiatów. Od czasu do czasu jednak, na tle jaśniejącego jak gwiazdy przepychu tego mrugały na nią porozumiewawczo trzy papierki pięciolirowe, brudne, wytłuszczone, budzące wstręt, jak stare, zużyte karty do gry.

II

Kwiecień. Niebo jasno-szare, miękkie, jak gdyby utkane z puchów. W powietrzu drgają zielono-złote błyski pierwszych pąków wiosennych. Różane kielichy wczesnych magnolji japońskich na nagich, pozbawionych liści, gałęziach. Zapach niedostrzegalnych fijołków przesycą cały ogród. Zapach młodości...

Weronka na balkonie, z książką w ręku, czyta półgłosem wiersze. Powinnaby, co prawda, popracować nad pierwiastkami sześciennymi, została przecież na drugi rok na tym samym kursie (...biedna mama!.. jakie to dla niej zmartwienie!...); została przez tę przekłątą matematykę. Ale sonet Petrarcki zbyt ją pociąga,

wsiąka powoli w jej krew, upajając ją bardziej jeszcze niż powietrze wiosenne:

*„Sento l'aura mia antica e i dolci colli
Veggio apparir, onde'l bel lume nacque...*)*

Nagle czarny tłum ludzi wali z ulicy ku furtce. Furtka zamyka się i cała czarna ciżba wlewa się falą w podwórze...

Przynoszą jej z fabryki matkę... nieżywą.

Upadła nagle, stojąc pomiędzy dwoma warsztatami, i uderzyła głową o skrzynię pełną wrzecion. Bez słowa, bez westchnienia, bez jęku. Trochę krwawej piany na ustach, nagle zaszklenie się gałek ocznych, zeszywnienie wszystkich członków—i ...cisza. Zanim zdążyła ukończyć swoją pracę, zanim urzeczywistniła cel, dla którego żyła, padła na posterunku.

Sierota pochwyciła ją w ramiona, dopomogła do złożenia jej na łóżku, niema, ziemisto-blada, z szeroko rozwartymi oczami, nieczuła napozór. Przerażona raczej, zdało się, niż zdjeta bólem! Ojca nie znała. Nie myślała nigdy o śmierci. Po raz pierwszy teraz zetknęła się z nią bezpośrednio, w osobie ubóstwianej matki, jedynej istoty, która ją obchodziła tak blisko, która była jej tak niezbędną i którą znała jak siebie samą. Nie mogła sobie nigdy wyobrazić

*) Czuję powiew mi znany i widzę znów zbocza Gór moich rodzimych, gdzie światło się rodzi...

matki, jako istoty odrębnej, samej dla siebie, z którą mogłaby się kiedykolwiek rozłączyć, która mogłaby ulegać indywidualnym prawom życia, choroby i śmierci. Była jej matką, a więc oczami, które patrzyła, członkami, które się poruszała, sercem, które odczuwała swoje istnienie, rękami, które pracowała, aby ona, Weronka, mogła się uczyć.

Stała przy łóżku, nie widząc i nie słysząc przychodzenia i wychodzenia ludzi, wypełniających pokój, głaszcząc tylko ruchem jednostajnym, rytmicznym czoło zmarłej, przewyciężając odrazę, jaką budził w niej szczególny chłód, zupełnie różny od dotknięcia marmuru, śniegu, lodu. Skupiała i nateżała władze myślenia, aby przeniknąć tajemnicę.

Mijały godziny. Zapadł wieczór. Dwie ręce liściowe (Weronka nie wiedziała czyje) złożyły na ubogiej białej kołdrze kilka zerwanych w ogrodzie, świeżo rozkwitłych gałązek różowej aspirei i postawiły gromnicę na lewo od wezglowia. Jakiś głos łagodny i przekonywający (Weronka nie poznała czyj) usiłował zniewolić dziewczynkę, aby odeszła od łóżka; za całą odpowiedź potrząsnęła jedynie przecząco głową, nie odrywając wzroku od czoła matki.

Pozostawiono ją wreszcie samą. I kiedy straszliwego milczenia trupa nie zakłócały już kroki ani szepty, uczuła się spokojniejszą. W miarę jak upływał czas, rysy zmarłej sztywniały, rzeźbiąc się w linje niewypowiedzianego piękna.

Kiedyż w ciągu całego mozolnego życia swojego usta jej zarysowywały się takim wyrazem zdumienia i zachwytu? Kiedy miał owal jej twarzy harmonję taką przedziwną? Kiedy gościł na jej obliczu spokój taki błogi?... Co oglądały te oczy zawarte?... co słyszały uszy skamieniałe?... Czy widziały i słyszały Boga?... Gdzie był i jakim był ten Bóg?...

Cała istota Weronki rozdzieliła się: jedną połową cierpiała, a drugą obserwowała własne cierpienie, rozszerzając własne źrenice, aby głębiej je przeniknąć.

Tak więc wygląda śmierć?... Matka jej miałaby już taką pozostać nazawsze?... I przypomniała sobie głos szczebiotliwy i ręce niestrudzone i serce nieulekłe z wiecznie kielkującym w niem ziarnem nadziei, nawet w dni najposepniejsze, jak te ostatnie... Która była prawdziwą Anną Longhena?... Ta, tutaj, czy tamta dawna?...

— Mamo!...—zawołała półgłosem.

Milczenie. Bezruch. Piękno najwyższe.

I spokój. Spokój zupełny. Spoczynek.

Nigdy jeszcze dotychczas nie oglądała Weronka widoku, który wydałby jej się tak imponującym. Dumą przejęła ją myśl, że zdolna jest zrozumieć i odczuć takie piękno i taki majestat, że potrafi wznieść się do nich, zamiast zachwiać się pod ich ciosem i tonąć we łzach daremnych, że stoi obok matki, oko w oko ze zmarłą, że patrzy na nią spokojna i nie-

ugięta i znosi ból z męstwem dojrzałości, jak równa wobec równej...

Odrzuciła precz, jako niegodną siebie, bojaźń samotności i lęk, że pozostaje sama na świecie, bez krewnych, bez opiekunów, bez środków do życia. O dalszej nauce w seminarjum nauczycielskim niepodobna myśleć nawet. Pozostała na drugi rok, straciła więc prawo do stypendjum. Nie obchodziło jej to jednak wcale; nie usiłowała nawet zrozumieć dla czego. Była wolna. Miała już tylko obowiązki względem samej siebie. Przeżywała moment podniosły, stojąc tak u wezglowia zmarłej, która *odczuła* ją mimo kamiennej nieruchomości swojej.

Jakaś siła przeogromna, której błyski budziły się w duszy jej już dawniej, nigdy wszakże z taką jak w tej chwili potęgą, przyśpieszała tętno jej krwi, zacierala w niej świadomość, że zawarta jest w granicach krzepkiej szczupłości własnego ciała. Siła ta była jej bronią w walce o istnienie, dziedzictwem, którem obdarzyła ją matka, nie mogąc przekazać córce innej po sobie spuścizny.

Z zapamiętaniem wchłaniała w siebie i wzajem sobą przenikała przedmioty otaczające ją, ich tajemnicze piękno i sens ich głęboko ukryty: modlitewny płomień świecy, nieruchomy spokój trupa, ostry profil łóżka, zamienionego na sarkofag. prostokąty obrazów: „Skazanie i Ucieczka Feliksa Orsini“, wylaniających się z półmroku, w którym tonęła reszta pokoju

i na oścież rozwartą wnękę okienną, po przez którą wlewały się wraz z balsamami ogrodu trwożliwe migotania gwiazd nocy wiosennej.

Wszystko drgało życiem. I śmierć nawet. Wszystko było jasne, przejrzyste, nie było nic tajemniczego. Nieświadoma granic i wagi ciała własnego, cała przepojona radością istnienia wobec niepokalanej czystości kształtów matczynych, jedynej rzeczy martwej napozór, czuła się dziewczynka porwaną do lotu w bezkresne kręgi powietrzne, czuła się panią wieczności.

I, nagle, wytrysła z głębin jej duszy gwałtowna, narzucająca się władczo, konieczność wypowiedzenia się. Nakaz wewnętrzny, któremu nie mogła się oprzeć. — Zeszyt, ołówki... Mama?... O, mamol... Nie opuszczam cię; odtwarzam cię, uwieczniam cię tutaj, na tych kartkach, taką, jaką byłaś, jaką jesteś... Patrzysz na mnie ufna, spokojna; pytasz mnie, jak to czyniłaś zwykle: „Weronko, piszesz, co ci zadano?“ ...

*

*

*

Kiedy stłumiony świergot wróbli i dzwony kościoła św. Barbary oznajmiły narodziny nowego dnia, a za oknem balkonu przesunęły się pierwsze zaróżowione, liljowe strzępy obłoków, pochylona nad kaje-

tem Weronka pisała wciąż jeszcze u stóp łoża, na którem złożono zmarłą tkaczkę.

Ale zmarła uśmiechała się, ukojona, z wyrazem błogości na obliczu. Przydała się: przydawała się jeszcze aż do chwili, w której zagwoźdżą nad nią wieko trumny i złożą w grobie wspólnym. Wiedziała, że córka jej nie jest podobną do innych i że nie można narzucać jej więzów powszednich, czuła, że duch jakiś tajemny kierował jej krokami i wiódł ją ku celom nieznanym. Z rozwianą, zwichrzoną czupryną, z rozplomienionemi policzkami, z pulsującą gorączkowo skronią pisała Weronka, czuwając przy zwłokach matki, pisała z taką zbożnością, jak gdyby modliła się za nią na klęczkach, z rękami kornie złożonemi do pacierza.

W ciągu kilku dni żyła w nieprzystępnej, dumnej samotności, karmiąc się chlebem i mlekiem. Nieporuszona, godzinami całemi zwarta w pozornym bezwładzie, a potem zapełniająca stosy kartek gęstem, nierównem pismem. Od śmierci matki nie przestąpiła progu szkoły. Koleżanki nadsyłały jej listy z wyrazami współczucia... nie odpowiadała im. Nie lubiła żadnej, nie zachowała żadnej w pamięci. Odgrodziła się najzupełniej od świata. Zerwała wszystkie, krępujące ją dotychczas, więzy obowiązku i zwyczaju. Żyła jak we śnie.

Jedynie ogród, tętniący wspólnym z nią rytmem, zaludniał się dla niej coraz bardziej splątana gęstwina

zieleni i śpiewów płaszcących. Koniec kwietnia przystrajał pozbawione jeszcze kwiatów krzewy różane młodemi, krwawiącemi się w słońcu, listeczkami, okwitały już różowe, wczesne magnolje; bzy rozwierały swoje, pachnące mocną goryczką, kiście liljowe... Mogłaby tak prześnić wieczność całą. — Musiał się wreszcie znaleźć ktoś silny, ktoś, kto potrafiłby potrząsnąć ją mocno za ramiona i postawić twardo wobec rzeczywistości. Rolę tę spełniła donna Karola, właścicielka domu, matka Nanetki i Ninki, zamkniętych już w murach pensyjnych we Florencji.

Rozrosła, o kształtach junonicznych, despotyczna w obejściu, obnosząca wciąż treny luźnych szlafroków, dodała do zwykłych swoich upodobań, zbyt męskie może: cygara Wirginja.

Pewnego dnia, pozostawiwszy spory jeszcze niedopałek na popielniczce, zeszła do ogrodu i zawołała Weronkę.

Kazała jej usiąść obok siebie na kamiennej ławce, w cieniu błękitnawej pinji, odgrywającej w rokosznej przeszłości rolę hrabiego Sergjusza. Co stało się z Księciem Lazurowym i z Księżniczką Marją?... Nanetka i Ninka były daleko i zapomniały już pewnie o wszystkim, a księżniczka Olimpja, blada, rozmazana, w podartej sukni i wykrzywionych bucikach, z twarzą tak wychudłą, że ostre kości szczękowe rysowały się na niej wyraźnie jak na trupiej czaszce, stała wobec konieczności znalezienia zajęcia, które odrazu dałoby jej utrzymanie.

— No, mała, — zaczęła donna Karola szorstko, nie bez pewnej jednak serdeczności. Czy pomyślałaś już o sobie? Czy zdajesz sobie sprawę ze swojego położenia?...

Cisza. Wielkie chmurne oczy utkwily niemo w mówiącej.

— Nie możesz chodzić więcej do szkoły. Sama to chyba rozumiesz. Mogłabyś dawać lekcje prywatne. Ale bez dyplomu trudna byłaby to rzecz: niepewny kawałek chleba. Zresztą — z twojem usposobieniem... no, bo masz charakterek... Co tu gadać?... musisz pracować, mieć utrzymanie, płacić komorne. I tak te dwa pokoiki musieliśmy oddać nawpół darmo matce twojej, chociaż nie chcieliśmy słyszeć nawet o obcych lokatorach. No, ale matka twoja, zanim jeszcze wstąpiła do fabryki, wykarmiła naszą Nanetkę, mieliśmy więc dla niej specjalne względy. Nie możemy ci jednak oddawać mieszkania za darmo. Sama to chyba rozumiesz...

Milczenie. Wielkie, posępne oczy wlepiły się niemo w mówiącą.

— Słuchaj więc. Mówiłam wczoraj z głównym dyrektorem fabryki. To mój kuzyn. Wszystko zależy tam od niego. Przez wzgląd na matkę twoją, która pracowała w tkalni przez tyle lat i umarła przy pracy, no i, naturalnie, przez wzgląd na mnie, gotów jest przyjąć cię jako kandydatkę na maszynistkę. Nauczysz się pisania na maszynie od urzędniczki, któ-

ra ma odejść za miesiąc, a potem zajmiesz jej miejsce. Cóż do licha, nie jesteś przecież głupia!... Wystukiwania na maszynie można się prędko nauczyć. A i z rachunkami poradzisz sobie, choć, co prawda, nietęgo ci z tem szło na kursach. No i cóż? Jesteś zadowolona?... Dostaniesz pięćdziesiąt franków na miesiąc, rozumie się, jak się już nauczysz i obejmiesz miejsce na dobre. A potem, z czasem... Zarobisz w każdym razie tyle, że starczy ci na życie. No i cóż?... zgadzasz się? czy nie?... Możesz mi podziękować, zasłużyłam chyba na to. Gdyby nie ja, zostałaabyś tak do końca życia, właściwie do głodowej śmierci, z oczami wlepionymi w niebo. No... musisz się ruszyć, do diabła!... Dyrektor oczekuje cię w kantorze we środę.

— Dziękuję pani.

I tylko tyle, ale donnie Karoli wystarczyło to. Chyba nigdy, póki żyła, nie miała do nikogo takiej długiej przemowy. Odsapnęła, wstała, myśląc z prawdziwą przyjemnością, że czeka na nią, pozostawiony na górze na popielniczce, niedopałek cygara, pożegnała dziewczynkę krótkim, łaskawem skinieniem głowy i potoczyła się ku schodom, majestatycznie ciągnąc za sobą ogon odwiecznego swojego flanelowego szlafroka w pasy czerwone, szafirowe i fioletowe.

Tyk-tyk; tyk-tyk; tyk-tyk... Nauczyła się prędko i wprawnie pisać na maszynie, prędzej niż się spodziewała. Można się nauczyć wszystkiego, byleby chcieć.

Tyk-tyk; tyk-tyk-tyk... od dziewiątej do dwunastej i od drugiej do siódmej; tyk-tyk-tyk z pod szybko przebiegających palców, przeistoczonych — wraz z mózgiem — w narzędzie mechaniczne. Klawisze wyskakują, zapadają się, znów wyskakują, niby zabawione djabliki chichotliwe; arkusze wysuwają się, jeden za drugim, białe i czerwone, najeżone nazwami technicznymi, formułkami handlowymi, a nadewszystko cyframi, cyframi, cyframi bez końca. Forma stołu — kwadratowa, arkuszy — prostokątna, klawiszy — okrągła. I tak wciąż nieodmiennie. Cyfry szeregują się nieskończenie, różnorodnymi ugrupowaniami, określającymi nieskończoną różnorodność liczb; wszystkie jednak wciąż i nieodmiennie jednakie.

Obok Remingtona — księga kopjowa, niema, uparcie milcząca, metodyczna. Zaciskając i tłocząc śrubę prasy, aby pismo odbijało się wyraźnie na cienkich arkusikach welinu, nieodmiennie doznawała Weronka bolesnego uczucia, że włacza w maszynę własną duszę i wyciska na niej, plugawiące ją, piętno niezatarte.

Wszystko dokoła niej było nieugięte ściśle, oparte na rozkładach i wyliczeniach. Praca urzędników, ich wszystkie dążenia, ich rozmowy jedną miały wytyczną, jedno jedyne bóstwo: zarobek. Jasno-szare

tapety trzech pokojów biurowych, szafy z ponumerowanymi szufladami, kopjały, poprzewiązywane zielonymi tasiemkami, olbrzymie biurka, zavalone papierami i ochlapane atramentem, zdawały się — tak samo jak ludzie — sączyć z siebie cyfry, sumy, reszty, salda, należności, nieskończone nagłówki: „ma“ i „winien“...

Szef rachunkowości wciąż wzywał do siebie Weronkę do pomocy, zwłaszcza w dni wypłat. Boże!... te woreczki... te woreczki z dziesiątkami, setkami, białe, ciężkie!... A te twarze w okienku!... twarze mężczyzn, kobiet, wyrostków, dziewcząt, dzieci... wszystkie napiętnowane jednakim wyrazem zwierzęcej pożądliwości, którą sycił dopiero widok woreczka, niktącego momentalnie w dłoniach chciwie zaciśniętych dokoła supła...

Szef rachunkowości był lichą kopją człowieka: żółty jak przygarść gliny, wąsy i włosy miał niby pakuły, uszy odstające, a taki był chudy, że łokcie i kolana dziurawiły mu rękawy i nogawice spodni. Włoczony pomiędzy wielką kasę żelazną i biurko dębowe, po za którem nikła jego wątła, drobna figurka, wiecznie zgarbiony nad księgą główną, nad fakturami, czekami i weksłami, zasługiwał w zupełności na miano człowieka — cyfry.

Nie omyliłby się na jedną tysięczną ułamka, nawet we śnie, nawet na łożu śmierci.

Drobiazgowa staranność, z jaką liczył i przeliczał pieniądze, przygotowywał i rozkładał koperty

i woreczki z wyplątami, owe skarby, jedyne na świecie warte strzeżenia i pilnowania, była dla młodej maszynistki nowem za każdym razem i ciekawem widowiskiem, czemś w rodzaju sztuk kuglarskich czy prestidigitatorskich.

Obarczony wieczną kulą u nogi: chronicznie chorą żoną i pięciorgiem dzieci, płowowłosych i wychudzonych, jak on sam, jedno tylko miał w życiu marzenie — uzyskanie podwyżki, jedna tylko uśmiechała mu się myśl — nadzieja poważniejszej gratyfikacji na Nowy Rok.

A inni?... Dyrektor przedzalni, dumnie prostujący swoje bary jarmarcznego atlety, pyszniący się swoją owłosioną, zjeżoną twarzą o typowo germańskim nosie zadartym... Dobiegał czterdziestki. Był bogaty, jak mówiono, mógł lada dzień zostać współwłaścicielem fabryki. Wpatrywał się z brutalną lubieżnością znawcy w nierozwinięte jeszcze, szczuple kształty Weronki. Dziewczynka nie spostrzegąca tego jednak, zmysły spały w niej jeszcze snem dzieciństwa.

A sekretarz, wsuwający wszędzie swój kuni pyszczek i węszący, gdzieby coś uszczknąć, ilekroć — a zdarzało się to często — czuł pustki w kieszeni... Wszyscy wiedzieli, że kopie zręcznie dołki pod jednym ze swoich kolegów, aby wysadzić go z posady i zająć jego miejsce; mimo jednak, że z całą zręcznością wprawiał w tym celu w ruch mały, kuni pyszczek, kolega ów umiał zawsze, w razie potrzeby, skutecznie odgryzać się kłami wilka.

W pośród wszystkich tych istot przyziemnych, pod dławiacem jarzmem obowiązku, w tych szarych izbach biurowych, w których krótkie, burzliwe zjawienia się szefa wywoływały błyski i gromy piorunowe, przy nieustannem tykaniu Remingtona, wlokło się życie Weronki falą ołowianą, w rytmie nieznośnie regularnego pulsu pracy, wykonywanej niechętnie, obojętnej, nielubianej.

Dziedziniec tylko oddzielał kantor od tkalni, gdzie Anna Longhena przez długich szesnaście lat przeplatała wesołą piosenką znojny trud swój, wśród którego upadła bez czucia, bez westchnienia, bez jęku, jak pada z gałęzi ptak postrzelony, w połowie urwanego trelu, z dzióbkiem wzniesionym do góry. Ale Weronka nigdy tam nie wchodziła.

I bez wchodzenia jednak dręcząca zdolność wywoływania widzeń i halucynacyj, wyczarowująca przed nią mary snute w wyobraźni, wskrzeszała wyraźny obraz trupa matki, wyschłego, czerniejącego, drobnego, rozciągniętego na oleistej podłodze, wciśniętego pomiędzy warsztat tkacki i skrzynię z wrzecionami. W całym tym rozgwarze ogłuszającym, w całym tym wirze nieustannym, był to zaledwie punkcik, drobniuchny atom, maleńki, ale jakże straszny...

Myślano, że został stąd usunięty, a przecież pozostał... leży tutaj, na tem samem wciąż miejscu.

Robotnicy, przechodzący przez tkalnię, idący tam i z powrotem, deptali po nim nogami, nie wi-

dząc go i nie czując; był tu wszakże: cząsteczki jego przywarły do atmosfery zgęszczonej, do wirowego ruchu transmisyj, do żywej substancji maszyn... Głos fabryki był głosem Anny, wołającej: Weronko! Weronisiu! Weroneczko!...

Smutne, słodkie słowa szły wciąż z ust zmarłej, zawsze czujnej i nieukozonej w miłowaniu swoim matczynem, szły ku dziewczynce, która zbyt późno zrozumiała długie, pełne pokory poświęcenie:

— Dziecko, dziecińco, i ty tutaj?... Nie moja wina, że odeszłam nie w porę.

Być udoskonalonem narzędziem do wytwarzania, ubraniowych materiałów barwnych, lub narzędziem do mechanicznego wystukiwania na maszynie listów handlowych — czyż nie na tem polega dla jednej i dla drugiej powszednia konieczność zarabiania na chleb?... Czy uda się szyderczym, gadatliwym chochlikom klawiszy, pod których rytm tak dobrze nauczyła się Weronka skandować tarantelę marzeń, stępić, skrzywić, wykoleić z drogi jej właściwego przeznaczenia naturę o szczególnie wysubtelnionej wrażliwości jaką w sobie czuła?...

Za chleb, za trzewiki, za utrzymanie się przy życiu. A tymczasem czuła, że tępe znużenie stanie murem żelaznym pomiędzy nią a utajoną głęboko istotą duszy jej własnej. Miałażby więc przejść przez życie, nie zdoławszy zdać sobie sprawy, kim jest i po

co przyszła na świat? I nikt nie ma oglądać tych kartek, zapisywanych gorączkowo w nocy, kiedy duchy wlatywały przez otwarte okno balkonu, aby czuwać wraz z nią i dotrzymywać jej towarzystwa?...

A słońce będzie dalej świeciło, trawa będzie kiełkowała w dalszym ciągu, gwiazdy będą błyszczwały na niebie, kwiaty będą jaśniały na grządkach i nieskończona różnorodność przejawów kosmicznych objawiać się będzie w pełni piękna w czasie i przestrzeni...

* * *

— Panie—zagadnęła głównego rachmistrza po wypłacie tygodniowej w jedną z sobót lipcowych, kiedy żar powietrza zawisł krużką rozprażoną nad ziemią i ludźmi,—jaka moc pieniędzy przewinęła się dzisiaj przez pańskie ręce!... A ile ich tam jeszcze w tej kasie żelaznej!... Nie obrzydnie panu w końcu to wszystko?... Nigdy nie przychodzi panu szalona ochota cisnąć garście tych papierków przez okno? Nigdy nie pomyślał pan, ile dusz, ile mózgów starła na miazgę ta ciągła, nieustanna potrzeba pieniędzy?!..

— Wyrzucać pieniądze przez okno?... Mózgi?... starte?... potrzeba pieniędzy?... Ej, mała, ty chyba dostajesz bzika. Pieniądz jest dźwignią ludzkości!... Co też ona wygaduje!... Oj, te kobiety, te kobiety!...

— Tak, tak, mnie pieniądze obrzydły, zawsze były dla mnie wstrętne. Nie rozumiem, dlaczego nie

35

miałabym przyznawać się do tego. Niech pan raz chociażby spróbuje wyobrazić sobie świat bez pieniędzy, ludzkość, wyzwoloną od zarazy pieniądza, wyzbytą pożądaną go... Może pan to sobie wyobrazić?...

Dyrektor, który był już na odchodnym, zatrzymał się, aby posłuchać dziewczęcej paplaniny. Skulił się, wtulił głowę pomiędzy ramiona i pożerał dziewczynę oczami. To samo zrobił sekretarz, krzywiąc drobny kuni pyszczek w grymas współczucia. Ta smarkata!... Taka śmiała i dumna, pędząca krokiem tak szybkim i elastycznym, że dech wprost zapiera, gdy człowiek chce za nią pogonić, w kilku susach przebiegająca drogę z fabryki do domu! Ładna czupryna, ni to kasztanowata, ni ruda; pełna loków, rozwichrzonych, niesfornych... W oczach duże żarówki płonące... A chciałoby to przerobić świat, zbawić ludzkość!...

— O czym mówisz? O papierkach?!.. Chciałbym mieć ich dużo, moja mała — zachichotał sekretarz. — Tyle, żebym mógł rozrzucić je na prawo i na lewo, upoić się nimi, przesycić. Daj mi wszystkie te pieniądze, które chcesz odebrać innym. Zobaczysz, że potrafię dobrze je zużyć.

— Nie wiedziałem, że jesteś anarchistką — dorzucił dyrektor. — Pieniądz rządzi światem.

Śmiech Weronki przeciął powietrze, jak śmigięcie batem.

Obaj mężczyźni odczuli, że jest im wroga, mocno przeciw nim uzbrojona, niby istota rasy odmien-

nej. Słowa dziewczyny uraziły ich dumę męską, ich przyziemne, utylitarne ujmowanie życia, ich korzenie się przed zarobkiem, przed majątkiem, odziedziczone po ojcach wraz z meblami, nazwiskiem i wyznaniem. Bliska im i razem daleka od nich, gorzała Weronka niby płomień rozniecony z gałęzi chrustu, subtelny, strzelający prosto w górę, cały drgający. Głód zmysłów, a zarazem namiętna żądza pokonania, ugłaskania, ugięcia odpornej nadeła krwią apoplektyczny kark dyrektorski. Nagle... żywszy szmer głosów w sąsiednim pokoju, szarpnięte drzwi, w których wyrastają trzy postacie: Joanna Dominici z włosami rozpuszczonymi i twarzą jak popiół szarą, wleczone za ramię przez odźwiernego, któremu poruczono rewidować przy wyjściu kieszenie robotnic; za nimi podmajstrzy.

...Zlitujcie się... Zrobiłam to dla dzieci... Nie gubcie mnie, zaklinam was, na Boga!...

Zęby jej szczękały jak w febrze. Spodlenie, nędza były od całej jej postaci obwisłej i ponurej, jak łachman czarny. Kolana dygotały pod nią ze strachu.

— Nie zrobimy ci nic złego. Ale, co tu gadać, znaleźliśmy cztery motki przędzy w kieszeni dolnej spódnicy. Nie zrobimy ci nic złego... Tylko, fora ze dwora.

— Chcecie chyba, żebym się rzuciła do rzeki?... A więc, dobrze, pójdę na most i rzucę się do wody. Nie mogę przecież patrzeć, jak moje dzieciaki mrą

39

z głodu. A za co mam im dać jeść?... Mam ich dwoje, jestem wdową... Płaca w fabryce nie wystarcza. Moja mordęga więcej, warta niż te marne grosze, które mi za nią dają. Kto ma prawo nazywać mnie złodziejką?... Lata całe już męczę się, dźwigam ten krzyż. Nikt z was nie wie, nikt nie może zrozumieć, ..

Starszy rachmistrz zbliżył się, aby ją podtrzymać. Trzęsła się cała, dygotała... Dreszcz nieustanny wstrząsał jej rękami, ramionami, piersią zapadłą. Atak hysterji wyginał, kurczył jej całe ciało.

— Niech pani odejdzie stąd. To nie dla pani widok — odciągał sekretarz przerażoną, bladą jak płótno, Weronkę.

— Odprowadzę panią — szepnął jej do ucha dyrektor. — Chodźmy, chodźmy. Już późno. Pozostawmy tę nieszczęśliwą; niech tam sobie sama, jak może, da radę z administracją. Chodźmy.

Wyszli w płonący żar zachodu. Mężczyzna niósł nieledwie towarzyszkę swoją, tak osłabłą z wrażenia, że chwiała się na nogach, blada, jak gdyby cała krew spłynęła jej z żył. Po raz pierwszy otoczyło małą samotnicę męskie ramię opiekuńcze, po raz pierwszy zatroszczył się mężczyzna o usunięcie kamyka z jej drogi. Poddawała mu się ufnie, jak dziecko, jak gdyby ten brodaty, muskularny wielkolud, pałający żądzą dzikiego zwierza pod maską form układowych, był jej ojcem..

— Przebaczą jej?... Powiedz pan. Biedaczka!... Ma dwoje dzieci. Widzi pan, widzi pan, do czego może doprowadzić nędza... Nikt nie powinien cierpieć nędzy... Niepodobna przecież, żeby jej nie przebaczano. Byłoby to naprawdę zbrodnią.

— Tak, tak, zapewne jej przebaczą. Niech się pani uspokoi. Nie trzeba się dręczyć.

Kiedy doszli do domu, w którym mieszkała Weronka, głos mężczyzny, nieco ochryply, szepnął:

— Pozwoli pani, że ją odprowadzę na górę... Taka jest pani rozdrażniona, cóż w tem złego?... Mam czterdzieści lat, mogłabyś być moją córką... Pozostanę tylko na chwilę, dopóki się biedactwo zupełnie nie uspokoi.

Jakie wysokie schody!... Nigdy nie wydały się one Weronce tak ciężkimi do wchodzenia, (dyrektor wciąż ją podtrzymywał). Nogi jej były tak przełamane w kolanach. Musiała chyba mieć gorączkę.

Gąszcz zieleni ogrodowej przedzierał się przez balkon do dwóch białych, pustych prawie izdebek. Ostatni promień zachodzącego słońca oblewał krwawym szlakiem wierzchołek dachu. Skwar dnia ciążył jeszcze nad nieruchomymi drzewami, które czekały, zda się, świeżości wieczoru. Hałaśliwy świergot wróbli rozlegał się z pośród cienia błękitnej pinji. Sznury jaskółek krążyły szybkim, gwałtownym lotem

po lazurze, wydając dźwięki pełne radości i upojenia miłosnego.

... Widzi pan?... Tutaj jestem zupełnie inna — zaczęła Weronka, ożywiona już trochę i mniej blada. — Tutaj, choćbym wróciła najbardziej zmęczona, staje się znów sobą... Niema tu już maszynistki!... — dodała z uśmiechem — ani śladu urzędniczki za pięćdziesiąt lirów na miesiąc. Jestem księżniczką Oliwją. Myśli pan, że gadam od rzeczy?... Mam cudowną szatę powłóczystą koloru promienia księżycowego. A klejnotów tyle, ile gwiazd na niebie. Wszystko jest moje, wszystko do mnie należy... nie dlatego, że je wzięłam, że je sobie przywłaszczyłam. Jest moje ot, poprostu dlatego, że żyję. Bałam się, że mi sen ten zatrze się w pamięci, więc go zapisałam. Widzi pan, tutaj... — wskazała mu, nagle onieśmielona, garstkę porozrzucanych w nieładzie na stoliku kartek.

— ...Jakto?... Pani pisze?... Pani?... pisze?...

— Tak. Z wieczora nie mogę nigdy zasnąć. Na tych kartkach opisuję siebie samą: jaką jestem i jaką powinnam być, aby zapracować na chleb. I o panu też tu jest, i o starszym rachmistrzu, i o całej fabryce, i o... mamie... I o księżniczce Oliwji, co została maszynistką.... Eh, bo pan nic nie wie... Tyle razy bawiłyśmy się w królowe z bajki, w ogrodzie, z Nanetką i Ninką. To było tak niedawno, prawie wczoraj... A potem mama umarła... A dlaczegoż nie

miałabym śnić dalej mojego snu?... Tylko we śnie mogę żyć.

Przysunął się do niej tak, że niemal dotykał jej swoim ciałem. Małemi, nabiegłymi krwią oczami, ukrytymi pod kępami szaro-rudawych włosów, wpił się w blade, nieświadome własnego czaru, korale ust dziewczyny, w błękitniejącą na smagłej szyjce żyłkę, pulsującą jeszcze gwałtownie po przebytem wzruszeniu. — Jakie to bajki o snach i księżniczkach opowiadała mu dziwna ta cyganeczka? Podobała mu się, budziła w nim pożądanie.

— Kochanie moje... Nie powinnaś wracać więcej go fabryki, do kantoru. To nie dla ciebie. Jesteś sama, bez krewnych, bez opiekunów... nie masz nikogo, kto miałby prawo tobą kierować... Chodź ze mną i zamieszkaj u mnie. Może mnie choć troszkę polubisz... dobrze?... Weronko?... Jestem za stary dla ciebie, ale co to szkodzi? Mam siły i zdrowie za dziesięciu. Jestem mocny jak dąb. Podobasz mi się. Ożenię się z tobą, jeżeli chcesz.

— Co pan mówi?... Niech pan idzie, niech pan idzie, na miłość boską...

— Nie. Nie pójdę, chyba razem z tobą. Mało ci jeszcze dokuczyła bieda?... Jestem bogaty. Patrz!... — wyciągnął wypchany pugilares, podsuwając go jej przed oczy. — Nie będziesz potrzebowała pracować, aby zarobić na chleb. Będziesz mogła pisać, ile zechcesz,

jeśli ci to ma sprawić przyjemność; ale jestem pewny, że ci się prędko odechce; będziesz wolała żyć jak dama, stroić się, podobać. Nienawidzisz pieniędzy, bo ich nie masz. Przekonasz się, jak to przyjemnie być bogatą. Zobaczysz, kochanie moje, moje maleństwo... — Stałowe ramiona ujęły dziewczątko w pól, ściskając ją z całych sił; rozdęte nozdrza buchnęły na nią zwierzęcym zapachem mężczyzny, wargi owionęły oddechem palącym; wilgotne, spotniałe ciało przywarło całym ciężarem do wiotkich kształtów dziewczyny.

Jej zwarta, nieprzystępna dziewczęcość uzbroiła ją w jednej chwili w tysiące kolców. Znalazła w sobie samej środki najgwałtowniejszej obrony: drapała, szarpała, wydzieriała się ze szpon samczych i, wyslizgując się nagłym, błyskawicznym skokiem dzikiej kotki, rzuciła się na ścianę. Jej gorejące fosforycznym ogniem oczy o szeroko rozwartych źrenicach budziły strach: głos wiązał jej w krtani, wydzierając się chrapliwemi, urywanemi dźwiękami.

— Precz ode mnie... Precz... rozumie pan?... Chce mnie pan kupić?... Nie jestem sztuką towaru. Przyjrzyj się pan sobie... Jest pan stary!... Schowaj sobie swoje pieniądze, brzydzą się niemi... są takie same jak tej straganiarki z zaułka, tylko jeszcze wstrętniejsze. O!... wiem, wiem... Odejdź pan, bo zacznę tak krzyczyć, że zbiegnie się cała ulica...

...Upokorzony, zziajany, podrapany, z kilkoma kroplami krwi, sączącemi się z lewej ręki, cofnął się

ku drzwiom. Szalał, oślepiiony namiętym gniewem zmysłowym, doprowadzającym krwistych samców do wściekłości.

Mruknął przez zęby: Milcz, smarkata... Pożałujesz swoich słów. Masz też być z czego dumna... z tych twoich idjotycznych bazgroł, które nie dadzą ci nawet kęsa chleba!... Sprobój zanieść je do jakiej redakcji, niech ci za nie zapłacą, niech wydrukują te głupie gryzmoły, te brednie bezsensowne... A może myślisz, że weźmiesz ludzi na twoje ładne oczy?... niedaleko zajedziesz, jak będziesz się tak dziczyła... Mówię ci to... pamiętaj, mała.

— Wszystko mi jedno. Odejdź pan!...

W półcieniu zmierzchu, nabrzmiątego drganiem fal magnetycznych, szeroko rozwarte źrenice dziewczęcia, wświdrowane w mężczyznę, przeszywały go, jak ostrza noża, dopóki nie cofnął się za próg i jeszcze szły za nim, dopóki odgłos ciężkich stąpań nie rozległ się na schodach. Wówczas dopiero opadły jej powieki, ciało rozprężyło się i osunęło na ziemię—niby łodyga podcięta w korzeniu. Spazmatyczny płacz wstrząsał nią całą, podrzucał w drgawkach konwulsyjnych, rozplaszczzał, zdawał się rozdzierać ją na strzępy, miażdżyć na proch. Potem ustał nagle. Zapadła noc. Zaległa cisza.

Następnego wieczora, skoro tylko powróciła z fabryki (gdzie zjawiała się trupio blada, jak gdyby wyciągnięta z grobu, i pełniła zwykle czynności swoje z mechaniczną biernością automatu) zabrała się, nie pozostawiając sobie nawet czasu na przełknięcie łyżki strawy, do przepisania rękopisu, który włożyła potem do koperty wraz z dołączonym listem. Na kopercie wypisała imię i nazwisko znanego krytyka, redaktora najpoczytniejszego medjolańskiego miesięcznika literackiego. Nazajutrz z rana zaniósła całą tę plikę na pocztę i... czekała.

Rada dyrektora nie poszła na marne.

Trzy długie tygodnie, dłuższe od trzech lat, czekała na odpowiedź. Nadeszła wreszcie, kiedy tracić już zaczęła zupełnie nadzieję otrzymania jej. Krytyk—człowiek uczciwy, sumienny, o szerokich horyzontach myślowych i niezawodnym węchu literackim, artysta, kochający piękno i umiejący wyczuwać w sztuce młodych szlachetne siły dynamiczne — dostrzegł odrazu w młodziutkiej, niewyrobowanej jeszcze autorce wyraźną indywidualność artystyczną, wyczuł całe złoto, które można było wydobyć z tej nieociosanej jeszcze rudy.

W liście jego pochwała, skąpa ale stanowcza, złociła surowość krytyki. Na zasadnicze pytanie, czy dostrzega talent, odpowiedział twierdząco, zaznaczał zarazem błędy, stawiał zarzuty, gdzie zachodziła ich

potrzeba, odnajdywał jądro głównych braków, wskazywał właściwą drogę, zadawał ciosy, aby pobudzić. Uradowana drżąca, cierpiała Weronka rokosznie, wryła się w głąb własnego serca, wypruwała je z siebie, aby czerpać zeń siłę i otuchę. Zabrała się powtórnie do rękopisu, skreślała, przerabiała, krwawiła ponownie. Były to jej królewskie wieczory. Wymiana listów z przyjacielem, którego nazywała już „drogim mistrzem“, stała się dla niej racją istnienia. Książka — nie romans, nie bajka, nie liryka, lecz wszystko to razem, stopione w boskim tyglu niesamowitości rzetelnego temperamentu artystycznego, rozkwitłego w samotni, — książka, wydrukowana w urywkach w miesięczniku, redagowanym przez „drogiego mistrza“, trafiła wprost do serc publiczności. Odezwały się sprzeczne głosy krytyki; nieznaną autorką, wcielającą się w postać księżniczki Oliwji, budziła i podsyciała powszechną ciekawość.

„Księżniczka Oliwja“ zaczęła się stawać postacią legendarną.

Wreszcie pewnego dnia napisał do niej przyjaciel:

„Droga moja dziczko, znalazłem dla pani dwa skarby: wydawca (wielki) chce wydać cały twój tom, a tutaj, w redakcji naszego miesięcznika, jest dla pani posada (mała), która, chociaż bardzo skromna, pozwoli ci wstąpić otwarcie w szeregi bojowników.

Znam zacną niewiastę, która da pani u siebie pomieszczenie i utrzymanie. Dotychczas walczyłaś w cieniu: przyjedź do nas walczyć w pełni światła. Czekałam na panią“...

Do listu dyskretnie dołączony był czek: honorarium za współpracę, trwającą już od kilku miesięcy. Drobną sumką. Pieniądz ten nie palił już rąk Weronki. Po raz pierwszy nie chłostał jej poniżeniem, brutalnością wroga. Pogodziła się ostatecznie z koniecznymi wymogami życia. Przygotowywała się do wyjazdu, pochłonięta zbożnym skupieniem ostatnich wieczorów samotnych,

Poszła pożegnać się z donną Karolą. Dostojna dama, żywiąca najbezwzględniejszą pogardę dla książek, przyjęła ją, rzecz prosta, mocno niełaskawie, darząc przelotnym zaledwie muśnięciem palców, a, wzamian, gęstym, puszczonej jej prosto w twarz, kłębem dymu nieodłącznego cygara.

Pożegnała też obojętnie kolegów biurowych. Wyróżniła jedynie dyrektora, który od owej sceny brutalnej, wstydzając się widocznie własnego wybuchu, nie śmiał niemal zbliżyć się do niej. Uścisnęła rękę jego z pogodnym uśmiechem i rzekła: „dziękuję“. — Nie zrozumiał znaczenia i powodu tego podziękowania, milczał więc, zmieszany, zawstydzony i chmurny.

O brzasku chłodnego poranka marcowego opuściła miasteczko rodzinne, nie odwracając nawet głowy za siebie. Poddawała się z lubością falom wiatru, ostrego jak kryształ, unoszącego ku górze roje nasionek roślinnych. Zabrała z sobą starą, mocno wypchaną, najeżoną garbami, walizę, pamięć matki i obraz ogrodu.

— Nie powrócę już tutaj nigdy — myślała.

III

Powróciła jednak. W kilkanaście lat później, na jeden dzień tylko, razem z Faustynem Mori.

Przez cały ten czas walczyła mężnie i, czerpiąc z własnego mózgu coraz większą siłę oporu i wytrwania, pokonała i zdobyła najpotężniejszego, najświetniejszego wroga swojego — sławę. Prasa żywo zajmowała się młodziutką pisarką, komentując i nicując ją na wszystkie strony. Powszechną zwróciła na siebie uwagę, gdy, nie mając jeszcze lat dwudziestu, wybłysła nagle na horyzoncie swoją „Księżniczką Oliwją“, której wydania i tłumaczenia mnożyć się zaczęły z niezwykłą szybkością.

Z bujnych tych, tętniących pełnią życia, kartek spowiedzi tryskał rwący, spieniony, unoszący za sobą w furji wybuchu całą falę żuzli, potok odwieczny kontrastów, rzeczywistości i fantazji; rojenia fantastyczne tyle opromieniało poezji, a rzeczywistość wykuta była tak ostremi linjami konturów i tak twarde-

mi bryłami cieni, że wstrząsnęły one i oszołomiły dusze czytelników.

Prasa i publiczność wzięły w opiekę Weronkę Longhenę.

Bez wysiłku, niespodziewanie, rzucona została na pełne światło dnia. Znalazła się w domu szklanym, wystawiona na pożądlivą i niezawsze życzliwą ciekawość ogółu; nie pozostawiono jej najcieńszej nawet zasłony, po za którą mogłaby ukryć się jej dusza. Zbyt wiele dała ze siebie w tym pierwszym utworze, aby mogło pozostać coś jeszcze, zazdrośnie przez nią samą utajonego. Zachwycała ją wszakże ta wyrafinowana udręka. Nie przez gorączkową próżność i żądę wystawiania samej siebie na pokaz—była na to zbyt prosta i zbyt dumna—lecz dla tego jedynie, że co dnia o świcie, budząc się, miała pewność stawania do nowej walki, do nowych wysiłków, aby uzbroić się do niej. Nauczyła się opanowywać, ujmować w karby własną sztukę, przenikać w głąb serc i charakterów, aby bolesnem napięciem woli wyciągać z nich krwawiące jądro prawdy i wypowiedać ją najtrafniejszemi, jedynie właściwemi słowami. Przewodnictwo „drogiego Mistrza“, mającego dla niej autorytet ojca, cennem było dla niej, bowiem wskazywało jej kierunek życia i zmuszało do poważnych studjów, do jakich odrazu ją zaprzagli. Niekrępowana niczem wolność, z której korzystała, jako dziennikarka i powieściopisarka, otworzyła przed

nią na oścież ulicę z jej skarbnicą doświadczeń, niezbędnych do gromadzenia obserwacji życiowych. Sława była dla niej biczem, smagającym plecy krwawymi pręgami i pobudzającym do biegu, nie zaś zwodniczym blaskiem kinkietów, nadającym szmince i bielidłu pozory barw żywego ciała.

Powieści jej miały ciepło i naturalny ruch mięśni, krwi, żył i soków, krążących w ziemi.

Kształtowała i urabiała materję żywą z szczerą brutalnością, którą wielu nazywało siłą męską, a która, wprost przeciwnie, była naturalnym wpływem zdrowej jędrności jej natury kobiecej.

To mocne, twarde obnażanie ludzkości było bardziej niż wszystko inne — powodem napaści na nią pseudokrytyki, przyczyną nienawiści i miłości wielu ludzi, wystawiało ją na łup sadyzmu intelektualnego, bluzgającego jej w twarz, a mimo to uznającego jej wyższość. Jak gdyby na wyzwanie, przyjęła za hasło swoje dumne słowa: „Bez wrogów słabnie zapal”.

Z biegiem lat, oddanych pracy niezmordowanej nad samą sobą, zyskiwała na odporności i świeżości. Matka, nieświadomie dla samej siebie, ulepiała ją z niezniszczalnej owej tkanki nerwowej, która, im więcej ze siebie wydaje, tem szybciej i łatwiej się odradza.

Ani razu przez ten okres walki nie zbudziła się w sercu jej chęć ponownego ujrzenia miasta, gdzie upłynęło nędzne jej dzieciństwo, szare i cierniste lata młodsze, dokąd nikt i nic nie mogły jej pociągać i skąd uciekła, jak więzień z turmy, której kratę udało mu się przepiłować. Przypominając sobie czas i miejsce niewoli, młoda kobieta, która zdołała wszystko przewyciężyć, podnosiła instynktownie ręce ku szyi, jak gdyby chcąc rozluźnić zaciskającą ją pętlę. Mimo to, pewnej niedzieli, powróciła.

Z towarzyszem swoim.

Z towarzyszem, przyjacielem, kochankiem — wszystkim tem razem i czemś więcej jeszcze: *swoim*, jak go nazywała w myśli, powróciła, promieniejąca uśmiechem szczęścia. Spotkała go na drodze życia późno, mając trzydzieści kilka lat, kiedy wzrok trwożny szuka pierwszych białych włosów i pierwszych zarysów zmarszczek. Już przedtem, podczas swojego życia wolnego, niewłaczanego przez nią nigdy w ramy konwencjonalizmu, zawiązywała i zrywała węzły; były to wszakże przemijające jedynie uludy serca i zmysłów, które pozostawiały jej po sobie posmak goryczy i dawały przeświadczenie, że skazana jest na wieczną samotność.

Jedynie przywiązanie najczulsze, nieskazitelnie szlachetne i wietrne, wystarczało dotychczas towarzysze Faustyny Mori. Przywiązaniem tem była przy-

jaźń dla krytyka, który namaścił ją na chrzest bojowy i wskazał drogę ciernistą, wiodącą do sławy, przyjaźń dla olimpijskiego starca o wysokim, wypukłym czole jowiszowem i mleczej brodzie patryjarchy, przed którym korzyła się, padając często na kolana, całując jego ręce, nazywając go „ojcem“.

Aż przyszedł Faustyn Mori.

Przy pierwszym zaraz spotkaniu odczuli się i zrozumieli wzajem.

„To on!“ — „to on!“ — rozbrzmiał w ich duszach głos bezdźwięczny, mimo to potężniejszy od wszystkich innych głosów najdonośniejszych: Na widowni jednego z teatrów, po burzliwym zgromadzeniu ludowem: Atmosfera rozprażona, przesycona elektrycznością. Zaledwie przebrzmieć zdołały echa wywodów mówcy, który potęgą żywego słowa wciągnął słuchaczy w wir porywającej, oszalamiającej swojej elokwencji.

W powietrzu drgały hasła walki, rzucone przez wzywającego do niej mówcę. Był nim adwokat Faustyn Mori.

Przywitanie, oklask, uścisk dłoni. On, wzrostu olbrzyma, barki i pierś szerokie, nie znający lęku przed starciem z tłumem. Ona: drobna, szczupła, na pozór wątła, jak bywają pozornie wątłe kobiety o nerwaco ze stali. Obie siły zlały się wzajem, choć obie wolh nie wzięły w tem zlanu się udziału. Od tej dopiere

chwili poczuli oboje: mężczyzna i kobieta, jakim szczęściem bezmiernem jest życie.

Gwałtowność, z jaką rzucili się wzajem ku sobie, nie zawiodła ich; każde z nich w tym rozpędzie zderzenia, odcisnęło na drugim stygmat własnej osobowości. A tak mocarna była ich miłość, że często w tłumie najbardziej zwartym doznawali uczucia wkraczania w progi śmierci, na ponowne, doskonałe bytowanie.

* * *

— Weronko — mówił, siedząc w rogu wagonu przy oknie, naprzeciwko niej, w owo rozprażone do białości świąteczne popołudnie i tuląc w wielkich swoich, muskularnych, nerwowych dłoniach drobne, bezwolne ręce kobiety. — Weronko, dzisiaj jesteśmy jak dwoje dzieci na wakacjach. Cieszysz się?...

— Tak. Ale jaka dziwna przyszła ci fantazja, Faustynie?...

— Dla czego?... Jedziemy, aby poślubić się, bez uroczystości i bez świadków, tam, gdzie się wychowałaś. Chcę tego. Chcę, abys temi drogiemi paluszkami pokazała mi miejsca i rzeczy związane z twojem dzieciństwem. Wiem wszystko. Opowiedziałaś, opisałaś wszystko w twojej książce, ale nie wystarcza mi to. Chcę cię widzieć tam, chcę cię tam kochać. Musisz być moją, bezpodzielnie, moją *od początku*.

— Tak.

Odpowiedziała „tak!“ tak samo naturalnie, jak on powiedział: „chcę!“ — Wystarczyło, że przemówił do niej, dotknął jej ramienia, aby utraciła wszelką wolę. Dawało jej to taką samą rozkosz, jaką daje sen, kiedy się jest znużonym.

— Sądzisz, że powróciłabym, gdyby nie ty?... Zbyt wiele tam przecierpiałam... Ale z tobą!... Z tobą poszłabym nawet na śmierć.

— Na śmierć?... Nie, na przeżywanie powtórne. Postaraj się przypomnieć sobie. Musisz przypomnieć sobie każdy szczegół najdrobniejszy. Jesteśmy już blisko. Minęliśmy ostatnią stację. Godzina i dwadzieścia pięć minut drogi!... Skok jeden...

Podniósł i zdjął woalkę, osłaniającą jej twarz, i—że byli sami jedni w przedziale—wziął ją w dłonie jednym ze swoich gestów szerokich, udając, że chce ją ugryść.

— Ani mi się waż czegoś zapomnieć!... Pożrę cię!...

Oczy Weronki zaszły mgłą rokosznego omdlenia; dreszcz miłosny przebiegł po całym jej ciele, od karku wzdłuż pleców.

Nie była już niczem więcej, jeno jego rzeczą, grą zmysłów, którą mógł kierować dowolnie.

— Poznają wszystko. Widzę. Fabryka, tam za murami miasta — patrz. Te dwa szerokie niskie budynki, dwa kominy. Biedna moja mama tam właśnie umarła. Spoczywa tam nazawsze, dla mnie... Jak to dawno.... Mama!..- Wydaje mi się, że to wiek cały!... Nie rozumiałam jej, nie kochałam jej tak, jak na to zasługiwała. Taki już widocznie los wszystkich matek... Boże, co za słońce... Jakie białe są mury w blasku słońca!... Uwielbiam słońce. Jestem szczęśliwa, Faustynie.

Pociąg gwizdnął, zwolnił bieg, dwa czy trzy razy szarpnął się i stanął pod dachem ołowianym. Mężczyzna, olbrzym, silny, jak dąb, wyskoczył w upojeniu radosnem, czyniącem go ponownie młodym chłopcem i chwycił Weronkę w ramiona, trzymając ją przez kilka sekund zawieszoną nad ziemią. Uśmiech co opromienił usta mężczyzny i usta kobiety, był jednakowo zwycięski.

W chwilę później, w powozie, który wioził ich ze stacji kolejowej do miasta, zapytał:

— Poznajesz miejsca?

— Tak... nie... Ogród miejski z kwitnącemi krzewami magnolji... jaki dziwnie teraz mały!... Aleja, wysadzana dwoma rzędami kasztanów... teatr... ulica Panny Marji... dom Ghislandich. Ale co mnie to wszystko teraz obchodzi?... Wszystko jakieś inne... I ja nie jestem już dawną Weronką. Przeszłość mi-

nęła, umarła. Tyś mnie powołał znów do życia, ty, wczoraj. Nazywam się Wera, twoja Wera.

Przywarła do niego, tuląc się do jego ciała ciepłym piersi i ramion, podczas gdy powóz mijał puste, rozpalone, wąskie, wyboiste zaułki, w których żar słoneczny złościł poczerwiałe od starości pałace z szczelnie spuszczanymi okiennicami, odgradzającymi wnętrza od spiekoty ulicznej.

Świadomość bliskości ukochanej istoty, pełnia szczęścia, doznawanego w tej godzinie, napawały ją uczuciem upojenia. Pod cieniem czarnej słomkowej pastery twarz jej przybrała tęskny wyraz bólu: bólu rokoszy.

Nigdy, zanim pokochała Faustyna, nie była tak piękną. Ruch każdy był w niej wtórem do czaru wewnętrznej błogiej harmonji, linje, płaszczyzny i barwy wyrazistej twarzy zlały się w górującą nad wszystkim bujność życia.

Gibką, smukłą jej postać opływały fałdy czarnego atłasowego płaszcza, zdobnego wielkimi perłowo-szaremi wyłogami, opadając aż na szczupłą łydkę, obciągniętą przejrzystą jedwabną pończoszką. Nic nie zdradzało w niej jeszcze kresu pierwszej młodości. Była młoda, bo kochała i była kochaną.

— Gdzie jesteście, Wero?... Jak mogłaś zatracić pamięć miejsc?... Musiałaś przechodzić tędy, Bóg wie, ile razy z szkolną teczką pod pachą. Kamień

każdy powinienby przemawiać do ciebie... — Cicho...
Święta Barbara!...

Na zakręcie ulicy, u której wylotu zieleniał cichy placyk, oczom ich odsłonił się czarownie piękny widok.

Wysiedli.

Nad placem całym dominował kościół prostotą fasady, utrzymanej w czystym stylu lombardskim; odcinał się na tle lazurów, skąpany w słońcu; dzięki przedziwnej smukłości linji zdawał się być myślą raczej niż kształtem. Był mały, a wydawał się olbrzymim. Linje obu strzelistych bocznych jego ostrołuków urągały, zdało się, niebu. Gęstwina trawy słała się cicho i pokornie wśród kamieni placyku. Fala wspomnień owionęła młodą kobietę, chyląc serce jej ku ziemi rodzinnej.

— O, tak chłodno w kościele!... Przybiegałam tu zawsze w godzinach popołudniowych, kiedy nie było nikogo, pociągana wewnętrzną potrzebą mistycznego skupienia. Nie modliłam się: rozmyślałam.

Moja Madonna!... Madonna moja, malowana al fresco, długa, smukła, o powłóczystych oczach, trzymająca dzieciątko ręką o sześciu palcach... Chcesz?... podam ci wodę święconą w kościele, w którym pewnego dnia przyszło mi na myśl zostać misjonarką...

W kojącej, usianej mgłą fioletową, ciszy wnętrza, w pośród kolumn pokrytych cennymi freskami w stylu Giotto, zanurzyła rękę w ogromnej misie, wykutej z bloku granitowego, chcąc zwilżyć święconą wodą dłoń Faustyna, ale on podniósł palce kobiety do ust, aby wysączyć z nich miłość wraz z kroplami wilgoci.

Kiedy unieśli przy wyjściu ciężką skórzaną kotarę, oślepiło ich znów słońce, upoiła fala żaru. Odesłali powóz. Teraz już mogła Weronka służyć za przewodnika. Z krótkimi, urywanymi okrzykami radości odnajdywała ulice, zaułki, fontanny, nazwy zatarte, jak sądziła, nazawsze w jej pamięci. Gorączkowa niecierpliwość tryskała z jej ust słowami bezładnymi, tętniącymi pełnią życia, rozsypanymi kaskadą dźwięków.

Towarzysz jej zręcznie podsyczał i podniecał to wzruszenie, ten śmiech, to rozgorączkowanie, czyniące z niej jedno żywe tętno.

— Taką, taką chcę cię mieć. Masz piętnaście lat!...

Most na rzece powitał ich tryumfalnie. Przybrany odświętnie tłum sunął w obu kierunkach wzdłuż starej, spiętej dużymi klamrami, balustrady. Nie widzieli nikogo, byli sami, dokoła siebie mieli jedynie dal przestrzenną.

Maleńkie łódeczki, mknące jak strzały, sterowane przez nawpółnagich młodych chłopaków, rytmicznie prujących wiosłami falę, sunące majestatycznie barki ciężkie, zaludniały wodę. Rozpierająca radość życia, nieskończone rytmy ruchu, fale światła rozedrgane w powietrzu i w wodzie. Zielone, soczyste, bujne pastwiska zarysowywały się w przeczoczniu widnokregu po za mostem, jak gdyby nieważkie, całe utkane z eteru i światła.

— Wszystko wyzwoliło się dzisiaj, Faustynie: ja i wszystko dokoła.

Przedostałam się na tamtą stronę rzeki: To, co przecierpiałam, nie ma już dla mnie znaczenia. Zbłękitniało; roztopiło się w przestrzeni, jak te wyspy zielone, zawieszzone pomiędzy dwoma lazurami. Lekcje po półlira za godzinę, maszyna do pisania, robotnica z motkami przędzy, ukrytymi w kieszeni spódnicy, wstrętne, wytłuszczone pieniądze... Pieniądze?... Były one zmorą nieustanną mojego dzieciństwa, moich lat młodzieńczych. Odgradzały mnie od świata murem nieprzebytym, murem bez wyjścia. Syczały mi nad głową zatrutym żądłem swoim, miażdżyły cielskiem smoka stugłowego. Muszę go powalić—myślałam — jeśli mam mocną wolę przedostania się na drugą stronę. Szaleństwo!... Nie, nie, nie pieniądze były mi zaporą. Nie ta konieczność zarobkowania wytrącała mnie z właściwego mojego środowiska, odcinała od

prawdziwej racji mojego istnienia, pohańbiała mnie, zniewalając do pracy, której rozdzźwięk z harmonją mojej duszy ranił mnie boleśnie. Kiedy nareszcie danem mi było wydostać się na wolny, szeroki gościniec, mara rozwiąła się, znikła.

Pochłoneły ją wspomnienia przeszłości. Charakterystyczna zmarszczka podłużna pomiędzy brwiami przecięła jej czoło, myśl skupiła się całym wysiłkiem woli na odnalezieniu rozwiązania, które mogłoby zadowolić jej poczucie odpowiedzialności wobec własnego sumienia. Końcem parasolki wierciła klamrę, spajającą kratę, poprzez którą precisnęła się niegdyś drobna dziewczyna o zwichrzonej, rudej czuprynce, aby swobodnie, bez lęku, przyjrzeć się przepaści.

— Nie myślę już o pieniądzach. Nie czuję do nich ani wstrętu, ani szczególnego przywiązania. Są mi obojętne. Stanowią jeden z koniecznych składników życia. Pewna ich ilość przypada w udziale mnie i tobie tak samo naturalnie, jak naturalnem jest, że ja piszę powieści i nowele, a ty bronisz oskarżonych wobec trybunału... Ale bronienie ich jest twoją radością, a pisanie— moją... A potem... Kochamy się. Co mają z tem wspólnego pieniądze?... Faustynie!... Któż byłby mi to przepowiedział wówczas, kiedy co rano przechodziłam przez ten most, idąc do fabryki, źle ubrana, brzydka, ocierająca się o kraty jak skudłany kot?... Przeżerałam się w szponach nędzy i nie wiedziałam, że przyjdzie miłość, twoja miłość, Faustynie!...

— Księżniczko Oliwjo — roześmiał się, pochylając przed nią łwią głowę, siwiejącą już na skroniach, ale rozjaśnioną promiennym uśmiechem dziecięcym. — Księżniczko Oliwjo, książę Błękitny prosi cię, abys raczyła przyjąć go w ogrodzie twojego państwa.

— Bądźcie pozdrowieni, miłościwy panie, odrzekła, poddając się ochoczo nowej grze.

I poszli w drogę marzeń. Przestał istnieć dla nich żar dnia upalnego, znikła rzeczywistość zewnętrznego świata. Każdy atom dokoła kojarzył się w zespole doskonałym z czarem iluzji. Nie było już życia, była harmonja.

— Przedmieście San Luca, ulica della Fontanella, dom... numer... Ten?... Tak, ale dom jakiś mniejszy... niska brama pod strażą dwóch karjatyd... ciemna izba odźwiernej... ogród zaniedbany, zdziczały...

Zawahali się przez chwilę jedynie. Gra była zbyt pociągająca, ażeby jej się wyrzec. Ułuda ozłociła rzeczy dawne, zapomniane, czarem promieni świetlnych.

— Książę Błękitny pozdrowiony niech będzie w granicach mojego państwa... O, czy to nie Wróżka Księżycowa?... Z bramy na ich spotkanie dźwignęła się z wysiłkiem staruszka bezzębna, zupełnie wyłysiała. Weronka poznała ją pomimo maski uwiadu starczego.

— Nie poznajecie mnie, Marjo Ludwiko? Jestem córką Anny Longheny, tkaczki, która tutaj umarła.

— Matko Przenajświętsza!... Weronka?!... Weronka Longhenal... Ta sama, co to wyjechała tyle lat temu i odtąd ani jej było widać... Mówią tylko, że z niej teraz wielka pani... piszą o niej w gazetach... Jezusie Przenajśłodszy!... To nasza Weronka!... A ten piękny pan... to mąż pewnie?... Proszę pani, te meble, co to zostały po nieboszczce, świeć Panie nad jej duszą, i co tutaj były, podarowała mi donna Karola.

— Doskonale zrobiła... Czy nikt w tym domu nie mieszka? Wygląda jak zamknięty klasztor.

— Ot, kłopoty, zmartwienia: donna Nina wyszła za mąż do Rzymu, inni—na wsi. Pałac ma iść na sprzedaż. Ogród zarósł zielskiem...

— Możemy wejść do ogrodu?... A potem obejrzeć moje pokoiki?...

— Ależ, paniusieczku, naturalnie. Na górze mieszka teraz moja Tereska; owdowiała i pomaga mi przy obrządzaniu domu. Wyszła dzisiaj, że to niedziela... Dać państwu klucze?... proszę. Niech was Bóg błogosławi... Niczem święci z obrazka...

Nie zdążyła jeszcze Wróżka Księżycowa odwrócić pleców zgarbionych, a już księżniczkę Oliwję i Błękitnego Królewicza pochłoneła znów rokosz marzenia na jawie. Poszli święcić ślubne gody swoje wśród drzew, w gąszczu dzikiego bluszczu, uroczyście, jak to opisane było w książce. Brakło tylko Księżniczki Marji do noszenia trenu panny młodej;

zastąpił ją bujny, splątany krzew żółtych różyczek. Zmarniały królewskie hortensje, pousychały mieczyki o liściach, jak klingi, ostrych, powiędły dumne, stalowe, czarno centkowane irysy. Miejsce ich zajęły łopuchy, pokrzywy i osty, które za dotknięciem czarnoksiężskiej laseczki Weronki Longheny przeistoczyły się w paziów, w strojne damy i w rycerzy szlachealnych.

Mężczyzna, którego skronie przyprószyła już siwizna i kobieta, stojąca tuż, tuż, u najdalszej granicy młodości, śmieli się, rozbawieni jak dzieci. Śmiech kobiety rozbrzmiewał pełnią szczęścia, ciepła i harmonji głębokiej.

Powtarzał się ściśle w ramach czasu moment z przed lat dwudziestu. Zapadała parna godzina zachodu. Ostatni promień słońca oblewał krwią i szkarłatem wierzchołki dachów. Hałaśliwy świergot wróbli rozbrzmiewał w cieniu sosen błękitnawych. Sznury jaskółek zataczały w lazurze kręgi chyże, gwałtowne, wydając okrzyki radości i upojenia miłosnego. Czy nie o tej samej godzinie i po tych samych schodach wchodził przed dwudziestu laty inny mężczyzna, podtrzymując, niosąc nieomal, małą księżniczkę?... Zapamiętała dobrze brutalną samczość jego gestu, kiedy ciskał jej w twarz garść banknotów, aby ją niemi kupić. Jak żywe wskrzesło w jej pamięci uczucie wstydu i bólu, wywołane przez napaść nędznika, gdy w uścisku swoim miażdżył jej kości... A przecież błogosławiła go teraz.

Zniewaga, jakiej doznała przez niego, natchnęła ją rozpaczłą odwagą rzucenia się na właściwą drogę, dała jej, wraz z tryumfem woli zwycięskiej, miłość Faustyna Mori...

Czegóż więcej jeszcze mogła pragnąć?... Co jeszcze pozostawało do zdobycia?...

Na progu mieszkanka umilkli, bladzi ze wzruszenia. Mówiły do niej ściany, przemawiały żelazne kraty balkoniku, starte kamienie podłogi. Pytały Weronkę: Czy to ty?... — Ale ona już była inną.

Faustyn ujął ją w ramiona, szepcząc do ucha:

Kocham cię. To jedno mam ci do powiedzenia.

Rozwiął się sen kwiecisty.

W izdebkach, już nie jej własnych, zastawionych obcemi, nieznanemi sprzętami, nie próbowała nawet Weronka odtworzyć sobie dawnego ich obrazu, pewna, że nic nie zdoła go już ponownie wy czarować.

Nie pamiętała już nic i o nic już nie dbała. Wszystko dawne stało się jej już obojętnem. Czowała tylko, że ma ciało, zwarła się w samej sobie, skuliła się, nikła, drobna i drżąca w cieniu ukochanego mężczyzny. Chciała jedynie żyć w nim, wcielić się w niego, jak gdyby istnieć przestały dla nich zapory materji. Faustyn porwał ją w ramiona, zgniótł w uścisku, rozpiął, niby kłamrę, na swojej piersi, namię-

tnym pocałunkiem do krwi zranił jej usta, ogarniając ją i oplatając całą dokoła siebie, mając ją taką, jaką mieć pragnął, dziecko zarazem i kobietę, z całą przeszłością jej i teraźniejszością — jedną, zwartą wiązkę tętnic i włókien, jedno powolne narzędzie miłości.

Oboje pragnęli żyć wiecznie, aby na wieki tak we wzajemnym pozostać uścisku.



Ant. Natch
W-wa 300984